

PIELEWIN

WIKTOR

Mały palec Buddy



Wódka, magia, grzyby, kokaina
Pielewina to diabeł!
Le Nouvel Observateur

Wiktor Pielewina urodził się w 1962 roku. Sławę przyniosła mu rosyjska Nagroda Bookera za tom prozy *Sinij fonar* (Niebieska latarnia, 1991), a ugruntowały ją książki *Omon Ra* (1992), *Żyzń nasekomych* (Życie owadów, 1997), *Żółtaja striela* (Żółta strzała, 1998) i *Generation „P”* (1999, wydanie polskie 2002), a przede wszystkim *Mały palec Buddy*, przełożony dotychczas na czternaście języków (oryginalny, ale zgodnie z sugestią autora zmieniony w większości przekładów tytuł to *Czapajew i Pustota*).

W 1998 roku „The New York Times” uznał Pielewina za jednego z sześciu najzdolniejszych młodych pisarzy europejskich. W styczniu 2002 rosyjska organizacja młodzieżowa popierająca Władimira Putina ogłosiła listę pisarzy i książek „niesusznych”. Otwiera ją nazwisko Pielewina.

Zdjęcie autora: © Alexander Victorov



Niniejsza **darmowa publikacja** zawiera jedynie fragment pełnej wersji całej publikacji.

Aby przeczytać ten tytuł w pełnej wersji [kliknij tutaj](#).

Niniejsza publikacja może być kopiowana, oraz dowolnie rozprowadzana tylko i wyłącznie w formie dostarczonej przez NetPress Digital Sp. z o.o., operatora [sklepu na którym można nabyć niniejszy tytuł w pełnej wersji](#). Zabronione są jakiegokolwiek zmiany w zawartości publikacji bez pisemnej zgody NetPress oraz wydawcy niniejszej publikacji. Zabrania się jej od-sprzedaży, zgodnie z [regulaminem serwisu](#).

Pełna wersja niniejszej publikacji jest do nabycia w sklepie internetowym [Salon Cyfrowych Publikacji ePartnerzy.com](#).

PIELEWIN

WIKTOR

Mały palec Buddy



W serii ukazały się:

- David Adams Richards *Grzech miłosierdzia*
Majgull Axelsson *Daleko od Niflheimu* ·
Kwietniowa czarownica
Aharon Appelfeld *Badenheim 1939* · *Droga żelazna*
John Banville *Zaćmienie*
Attila Bartis *Spokój*
Samuel Beckett *Sen o kobietach pięknych i takich sobie*
Thomas Bernhard *Wymazywanie*
Javier Cercas *Żołnierze spod Salaminy*
Michel Faber *Biliźnięta Fahrenheit* · *Jabłko* · *Pod skórą* ·
Szkarłatny płatek i biały
Jonathan Safran Foer *Strasznie głośno, niesamowicie blisko* ·
Wszystko jest iluminacją
Laurent Gaudé *Słońce Scortów*
David Gilbert *Normalsi*
Julia Glass *Trzy czerwce*
Juan Goytisolo *Makbara*
Jan Guillou *Zło*
Michel Houellebecq *Cząstki elementarne* · *Możliwość wyspy* ·
Platforma · *Poszerzenie pola walki*
Daniel Kehlmann *Beerholm przedstawia*
Imre Kertész *Anielska flaga* · *Fiasko* · *Ja, inny. Kronika*
przemiany · *Kadysz za nienarodzone dziecko* · *Likwidacja* ·
Los utracony
Michaił Kononow *Goła pionierka*
László Krasznahorkai *Melancholia sprzeciwu* · *Szatańskie*
tango
Karel van Loon *Ojciec i ojciec*
James Meek *Ludowy akt miłości*
Harry Mulisch *Odkrycie nieba* · *Procedura*
Wiktor Pielewin *Generation ,P'* · *Mały palec Buddy* ·
Omon Ra i inne opowiesci · *Święta księga wilkołaka* ·
Życie owadów
W.G. Sebald *Austerlitz* · *Wyjechali*
Zeruya Shalev *Mąż i żona* · *Życie miłosne*
Władimir Sorokin *23000* · *Bro* · *Lód*
Jáchym Topol *Nocna praca* · *Siostra*
Mo Yan *Kraina wódki* · *Obfite piersi, pełne biodra*
Oksana Zabuzko *Badania terenowe nad ukraińskim seksem*
Juli Zeh *Instynkt gry* · *Orły i anioły*

WIKTOR
PIELEWIN

Mały palec Buddy

powieść z przedmową Urgana Dzambona Totku VII

Przełożyła
Henryka Broniatowska

Wydawnictwo
ab

Tytuł oryginału: *Czapajew i Pustota*

Copyright © 1996 by Victor Pelevin

Copyright © for the Polish edition by Wydawnictwo W.A.B., 2003

Copyright © for the Polish translation by Wydawnictwo W.A.B., 2003

Wydanie I

Warszawa 2007

*Patrząc na zrodzony moją
wolał bezkresny żywy potok
końskich pysków i ludzkich twarzy,
mknący donikąd po szkarlatnym
o zachodzie stepie, często pytam siebie:
gdzie jestem Ja w tym potoku?*

Czyngis-chan

Nazwisko autora tego rękopisu, który powstał w pierwszej połowie lat dwudziestych w jednym z klasztorów Mongolii Wewnętrznej, z wielu względów nie może być ujawnione, wydrukowano go więc pod nazwiskiem redaktora, przygotowującego tę publikację. Usunięto z oryginału opisy wielu magicznych praktyk, a także znacznej objętości wspomnienia narratora o jego życiu w przedrewolucyjnym Petersburgu (tak zwany okres petersburski). Pominięto autorskie określenie literackiego gatunku tekstu – „niezwykły wzlot swobodnej myśli” – co wypada potraktować raczej jako żart.

Historia opowiedziana przez autora wzbudza zainteresowanie jako dziennik psychologiczny, posiadający wiele niewątpliwych walorów artystycznych, ale w żadnej mierze do niczego więcej nie pretenduje, choć miejscami autor podejmuje próby rozważania problemów, które naszym zdaniem żadnych rozważań nie wymagają. Pewna gorączkowość narracji bierze się stąd, że nie chodziło wcale o stworzenie „dzieła literackiego”, lecz o utrwalenie w zapisie mechanicznych cykli świadomości dla definitywnego

uleczenia ich z tak zwanego życia wewnętrznego. Prócz tego w dwóch czy trzech miejscach autor bardziej próbuje odwołać się wprost do inteligencji czytelnika niż zmuszać go do oglądania kolejnego, ulepionego ze słów fantazmatu; niestety to zbyt proste zadanie, by takie próby mogły być uwieńczone sukcesem. Specjaliści od literatury dostrzegą zapewne w naszej opowieści kolejny produkt modnego w ostatnich latach krytycznego solipsyzmu, prawdziwą jednak wartość tego dokumentu stanowi co innego – jest on pierwszą w kulturze światowej próbą przedstawienia artystycznymi środkami wyrazu prastarego mongolskiego mitu Wiecznego Niepowrotu.

Teraz kolej na kilka słów o najważniejszej postaci książki. Redaktor tekstu zacytował mi kiedyś tankę poety Puszkina:

*I chmurny rok ów, co kosztował tyle
Ofiar szlachetnych, nadobnych i śmiałych,
Zaledwie pamięć po sobie zostawił
W jakiej bądź prostej, pastuszej piosence,
Smętnej a wdzięcznej.**

W przekładzie na mongolski zestawienie słów „śmiała ofiara” brzmi dziwnie. Ale nie miejsce tu na roztrząsanie tego tematu; chcieliśmy tylko podkreślić, że trzy ostatnie wersy mogą się w pełni odnosić do historii Wasilija Czapaiewa.

Co wiadomo dziś o tym człowieku? Według naszej oceny, w ludowej pamięci jego wizerunek nabrał cech czysto mitologicznych. W folklorze rosyjskim Czapaiew stał się kimś w rodzaju słynnego Hodży Nasreddina. Jest boha-

* Puszkina, *Uczta podczas dżumy*.

terem niezliczonych anegdot, opartych na znanym filmie z lat trzydziestych. W tym filmie Czapajew jest czerwonym kawaleryjskim dowódcą, który walczy z białymi, prowadzi długie przyjacielskie rozmowy ze swoim adiutantem Pietką i cekaemistką Anką, a na koniec tonie, próbując podczas ataku białych przepłynąć rzekę Ural. Nie ma to jednak nic wspólnego z losem rzeczywistego Czapajewa, a jeśli nawet ma, to prawdziwe fakty są nie do poznania zniekształcone domysłami i niedomówieniami.

Cała ta gmatwanina wiąże się z książką *Czapajew*, opublikowaną po raz pierwszy w 1923 roku przez jedno z paryskich wydawnictw po francusku i z dziwnym pośpiechem wydaną następnie w Rosji. Nie warto tracić czasu na udowadnianie jej nieautentyczności. Każdy, kto zechce, bez trudu znajdzie w niej mnóstwo niekonsekwencji i sprzeczności, sam jej duch zresztą świadczy wyraźnie o tym, że autor (czy autorzy) nie miał nic wspólnego z wydarzeniami, które usiłuje opisać. Zauważmy przy okazji, że chociaż pan Furmanow spotkał się z historycznym Czapajewem co najmniej dwukrotnie, w żaden sposób nie mógł być twórcą tej książki z powodów, jakie ujawni nasza opowieść. Wprost nie do wiary, że przypisywany mu tekst jest przez wielu do tej pory traktowany niemal jak dokument.

Za tym istniejącym już ponad pół wieku falsyfikatem nietrudno dojrzeć działalność szczerze finansowanych i niezwykle aktywnych sił, zainteresowanych tym, by prawdę o Czapajewie jak najdłużej ukryć przed narodami Eurazji. Lecz sam fakt odnalezienia prawdziwego rękopisu wystarczająco jasno, jak sądzimy, świadczy o nowej równowadze sił na kontynencie.

I na koniec. Zmieniliśmy tytuł oryginalnego tekstu (*Wasilij Czapajew*) właśnie po to, by uniknąć pomylenia go

z wiadomym falsyfikatem. Tytuł *Mały palec Buddy* wybrany został jako najprostszy i mało sugestywny, chociaż redaktor proponował warianty: *Ogród o rozwidlających się Pietkach* i *Czarny bajgiel*.

Stworzone przez ten tekst wartości dedykujemy dobru wszystkich żywych istot.

Gate gate paragate parasamgate bodhi swaha.

Urgan Dżambon Tulku VII,
Przewodniczący Buddyjskiego Frontu
Kompletnego i Bezapelacyjnego Wyzwolenia
(KBW[B])

Bulwar Twerski nie zmienił się prawie od czasu, gdy widziałem go ostatni raz przed dwoma laty – znów był luty, zasy, mgła osobliwie przenikająca nawet dzienne światło. Na ławkach siedziały nieruchomo te same staruszki, w górze, nad czarną siatką gałęzi, szarzało to samo niebo, zwisające tuż nad ziemią niczym stary piernat wybrzuszony pod ciężarem śpiącego Boga.

Była jednak różnica. Tej zimy po alejach szalała jakaś prawdziwie stepowa zamieć i nie zdziwiłbym się wcale, gdybym zobaczył tu raptem parę wilków. Spiżowy Puszkina zdawał się jakby smutniejszy niż zwykle – pewnie przez tę opasującą mu pierś czerwoną płachtę z napisem „Nieh rzyje pierwsza rocznica Rewolucji”. Nie miałem wcale ochoty ironizować z tego powodu, że żyć miała rocznica, a rewolucja była napisana z błędem – w ostatnim okresie miałem dość okazji, by przyjrzeć się twarzy demona, kryjącej się za tymi wszystkimi krótkimi bzdetami, krzyczącymi z czerwieni.

Zapadał mrok. W śnieżnej mgle ledwo majaczył klasztor Strastny. Na placu przed nim stały dwie ciężarówki o wysokich skrzyniach, obciążonych jaskrawoczerwonym materiałem, wokół nich falował tłum i dobiegał stamtąd głos mówcy – słów prawie nie rozróżniałem, ale intonacja i strzelające serie „r-r” w słowach „proletariat” i „terror” nie pozostawiały żadnych wątpliwości. Obok mnie pojawiło się

dwóch pijanych żołnierzy, na ich ramionach kołysały się karabiny z zatkniętymi bagnetami. Spieszyli na plac. Jeden z nich wlepił we mnie natarczywy wzrok, zwolnił kroku i już otworzył usta, jakby chciał coś powiedzieć; na szczęście – jego i moje – drugi pociągnął go za rękaw i poszli sobie.

Zawróciłem i pośpiesznie ruszyłem bulwarem w dół. Zachodziłem w głowę, dlaczego mój wygląd niezmiennie wzbudza podejrzliwość tego bydła. Prawda, że ubrany byłem fatalnie, w złym guście: brudny trench-coat z szeroką patką, futrzana wojskowa czapa, oczywiście bez bączka, podobna do tej, jaką nosił Aleksander II, i oficerki. Lecz nie chodziło zapewne tylko o ubranie. Dokoła sporo ludzi wyglądało o wiele dziwniej. Widziałem na przykład na Twerskiej jakiegoś całkiem szalonego osobnika w okularach w złotej oprawie z ikoną w rękach – niósł ją w stronę mrocznego, opustoszałego Kremla, nikt jednak nie zwracał na niego uwagi. A mnie wszędzie ścigały krzywe spojrzenia, przypominając nieustannie, że nie mam pieniędzy ani dokumentów. Wczoraj w dworcowym klozecie przypiąłem sobie na piersi czerwoną kokardę, ale zdjąłem ją czym prędzej, widząc swoje odbicie w pękniętym lustrze: z kokardą wyglądałem nie tylko głupio, ale o wiele bardziej podejrzanie.

Być może w istocie nikt mi się nie przyglądał dłużej niż innym, a zawiniły tu tylko moje napięte nerwy i strach przed aresztowaniem. Nie bałem się śmierci. Kto wie, czy już nie nastąpiła – myślałem – i ten obludzony bulwar, którym idę, to właśnie przedsiónek świata cieni. Od dawna zresztą przychodziło mi do głowy, że dusze rosyjskie skazane są na przeprawę przez Styks dopiero, gdy zamarznie, a monetę, zamiast przewoźnika, ma odbierać Ktoś Szary, wypożyczający łyżwy (rzecz jasna, jego duchowa istota pozostałaby taka sama).

Nagle, jakże wyraźnie, ujrzałem tę scenę! Hrabia Tołstoj w czarnym trykocie, szeroko wymachując rękami, sunie po lodzie w stronę odległego horyzontu; ruchy ma powolne i majestatyczne, porusza się jednak tak szybko, że biegnący za nim trzygłowy, szczekający bezgłośnie pies nie może go dogonić. Obrazu dopełnia ponury czerwonożółty płomień pozaziemskiego zachodu. Zaśmiałem się cicho i w tej samej chwili czyjaś dłoń spadła na moje ramię.

Uskoczyłem w bok i odwracając się błyskawicznie, wyłuskałem z kieszeni kolbę nagana. Ku swemu zdumieniu ujrzałem przed sobą Grigorija von Erdena – człowieka, którego znałem od dzieciństwa. Ale, mój Boże, jak on wyglądał! Od stóp do głowy w czarnej skórze, kabura z mauzerem u pasa, a w rękę jakaś idiotyczna akuszerska torba.

- Cieszę się, że potrafisz się jeszcze śmiać – powiedział.

- Witaj, Grisza – odparłem. - Jakież to dziwne, że cię widzę!

- Czemu dziwne?

- Bo dziwne.

- Skąd i dokąd? – spytał dziarsko.

- Z Pitra – odpowiedziałem. - A dokąd, sam chciałbym wiedzieć.

- Wobec tego chodźmy do mnie – powiedział von Erden - to tuż obok, cały lokal mam tylko dla siebie.

Poszliśmy w dół bulwaru, przyglądając się jeden drugiemu z uśmiechem, wymieniając zdawkowe słowa. Odkąd straciliśmy się z oczu, von Erden zapuścił bródkę, która upodobniła jego twarz do sparciałej cebuli; osmagane wiatrem policzki nabrały rumieńców, jakby przez kilka zim po kolei z wielkim pożytkiem dla zdrowia jeździł na łyżwach.

Chodziliśmy do tego samego gimnazjum, później jednak widywali się rzadko. Spotkałem go ze dwa razy

w petersburskich salonach literackich – pisywał wiersze w guście ni to uprawiającego sodomię Niekrasowa, ni to urzeczonego Marksem Nadsona. Irytował mnie trochę jego zwyczaj wachania przy ludziach kokainy oraz ciągle napomykanie o bliskich stosunkach w kręgach socjaldemokratów, co zresztą, sądząc po jego dzisiejszej powierzchowności, musiało być prawdą. To pouczający widok – ktoś zdolny w swoim czasie do rozmowy o mistycznym sensie Trójcy Świętej, który zdradza wyraźne oznaki przynależności do Wojsk Otchłani – choć w takiej przemianie nie było, oczywiście, nic zaskakującego. Wielu dekadentów w rodzaju Majakowskiego wyczuło wyraźnie szatański charakter nowej władzy i pośpieszyło zaoferować jej swoje usługi. Nie sądzę jednak, by kierował nimi świadomy satanizm – byli na to zbyt infantylni – raczej zmysł estetyczny: czerwony pentagram świetnie uzupełnia żółtą bluzę.

- Co tam w Pitrze? – spytał von Erden.

- Jakbyś sam nie wiedział – powiedziałem.

- Racja – posmutniawszy, przyznał von Erden. – Wiem.

Skręciliśmy z bulwaru, przeszliśmy jezdnię i znaleźliśmy się przed sześciopiętrową kamienicą czynszową, akurat naprzeciw hotelu „Palace” – przy drzwiach hotelu stały dwa karabiny maszynowe, marynarze palili papierosy, trzepotała na wietrze czerwona muleta na długim kiju. Von Erden pociągnął mnie za rękaw.

- Spójrz – powiedział.

Odwrociłem głowę. Na jezdni naprzeciwko bramy stało długie czarne auto z otwartym przednim siedzeniem i ciasną kabiną pasażerską. Na przednie siedzenie nawiało sporo śniegu.

- No? – spytałem.

- Mój – oznajmił von Erden. – Służbowy.

- O! - powiedziałem. - Winszuję.

Weszliśmy do sieni. Winda nie działała i trzeba się było wdrapywać po ciemnych schodach, z których nie zdążono jeszcze zedrzeć chodników.

- Czym się zajmujesz? - spytałem.

- Och - odparł von Erden. - Niełatwo to krótko ująć. Kupa roboty, aż za dużo. To, tamto i owo - cały czas człowiek stara się nadążyć. Raz tam, raz tu. Ktoś musi to wszystko robić.

- W resorcie kultury?

Jako niezdecydowanie skłonił głowę na bok. Przestałem się dopytywać.

Na czwartym piętrze zatrzymaliśmy się przed wysokimi drzwiami, na których wyraźnie odcinał się jaśniejszy prostokąt po zerwanej tabliczce. Drzwi się otwały, weszliśmy do ciemnego przedpokoju, gdzie natychmiast zadzwonił wiszący na ścianie telefon. Von Erden zdjął słuchawkę.

- Tak, towarzyszu Babajasin - wrzasnął do ebonitowej tuby. - Tak, pamiętam... Nie, nie przysyłajcie... Towarzyszu Babajasin, ależ ja nie mogę, to będzie śmieszne... Wyobrażcie sobie tylko - z marynarzami, toż to wstyd... Że co? Podporządkuję się rozkazowi, ale zgłaszam stanowczy sprzeciw... Co?

Zerknął na mnie z ukosa; nie chcąc go krępować, przeszedłem do salonu.

Podłoga była tu zasłana gazetami, przeważnie od dawna zabronionymi. Widocznie w tym mieszkaniu zachowały się stare komplety. Pozostały też inne ślady dawnego życia - na ścianie wisiał prześliczny dywan perski, pod nim stała sekretera wykładana różnokolorowymi rombami emalii - już na pierwszy rzut oka widać było, że mieszkała tu zamożna rodzina kadecka. Na przeciwległej ścianie obok

wielkiego lustra wisiał krucyfiks w secesyjnym stylu i przez chwilę pomyślałem o charakterze uczuć religijnych, jakie mógł budzić. Znaczną część przestrzeni zajmowało ogromne łoże z żółtym baldachimem. To, co stało na okrągłym stole pośrodku pokoju, wydało mi się – może ze względu na sąsiedztwo krucyfiksowi – martwą naturą z motywami ezoterycznego chrześcijaństwa: litrowa butelka wódki, blaszana puszka po chałwie, w kształcie serca, wiodąca w pustkę drabinka z trzech leżących na sobie kromek czarnego chleba, trzy graniaste szklanki i nóż do konserw, w kształcie krzyża.

Obok lustra na podłodze rzucały się w oczy toboły, których wygląd podsuwał myśl o przemyśle; pokój wypełniał kwaśny odór onuc i fuzli, było też dużo pustych butelek. Usiadłem przy stole.

Wkrótce skrzypnęły drzwi i wszedł von Erden. Zdjął skórzaną kurtkę i pozostał w ostentacyjnie żołnierskiej bluzie.

- Zlecają Bóg wie co - powiedział, siadając. - Właśnie dzwonili z Czeki.

- To i u nich pracujesz?

- Unikam, jak mogę.

- Jak trafiłeś do tego towarzystwa?

Von Erden uśmiechnął się szeroko.

- Ależ nic łatwiejszego. Pięć minut rozmowy z Gorkim przez telefon.

- I co? Od razu dali mauzer i auto?

- Posłuchaj - powiedział - życie to teatr. Wiadoma rzecz. Lecz o wiele rzadziej mówi się o tym, że w owym teatrze codziennie zmienia się repertuar. No więc teraz ja wystawiam coś takiego, Pietia, coś takiego...

Uniół ręce nad głowę i potrząsnął nimi w powietrzu, jakby podzwaniał monetami w niewidocznym woreczku.

- Rzecz nawet nie w samej sztuce - ciągnął. - Jeśli kontynuować to porównanie: dawniej kto chciał, mógł rzucić z sali na scenę śmierdzące jajko, a teraz to ze sceny walą z nagana - mogą i rzucić bombę. To pomyśl, kim być teraz lepiej? Aktorem czy widzem?

To było poważne pytanie.

- Jak by ci odpowiedzieć - odparłem z namysłem. - Ten twój teatr nazbyt już zaczyna się od wieszaków. I na tym, jak sądzę, się kończy. A przyszłość - wskazałem palcem w górę - należy i tak do kina.

Von Erden zachichotał i pokręcił głową.

- Przemysł jednak moje słowa - powiedział.

- Obiecuję - odparłem.

Nalał sobie wódki i wypił.

- Uch - sapnął. - Wracając do teatru. Wiesz, kto jest teraz komisarzem teatrów? Madame Malinowska. Znacie się chyba?

- Nie przypominam sobie. Co to znów u diabła za madame Malinowska?

Von Erden westchnął. Wstał i w milczeniu przeszedł się po pokoju.

- Pietia - powiedział i siadłszy naprzeciwko, zajrzał mi w oczy - my tu sobie gadu-gadu, a ja przecież widzę, że z tobą coś nie tak. Co ci się przydarzyło? Jesteśmy oczywiście starymi przyjaciółmi, ale nawet nie bacząc na to, mógłbym ci pomóc.

Zdecydowałem się.

- Muszę ci wyznać uczciwie. W Petersburgu przed trzema dniami przyszli do mnie.

- Skąd?

- Z twojego teatru.

- Jak to? - zapytał, unosząc brwi.

- Ano zwyczajnie. Przyszło trzech z Gorochowej, jeden przedstawił się jako spec od literatury, reszta nie musiała się przedstawiać. Porozmawiali ze mną ze czterdzieści minut - głównie ów spec, a potem poznajmili, że rozmowa była interesująca, lecz trzeba ją będzie kontynuować gdzie indziej. A ja na to gdzie indziej nie miałem ochoty, ponieważ, jak sam wiesz, wraca się stamtąd dość rzadko...

- Ale tyś przecież wrócił - wtrącił von Erden.

- Nie wróciłem, po prostu tam nie poszedłem. Uciekłem im, Grisza, jak w dzieciństwie przed stróżem.

- Ale czemu do ciebie przyszli? - spytał von Erden.

- Jesteś przecież człowiekiem, który trzyma się z dala od polityki. Narozrabiałeś coś?

- Nic nie narozrabiałem. To po prostu śmieszne. Wydrukowałem wiersz - z ich punktu widzenia w jakiejś nie takiej jak trzeba gazecie - i był tam rym, który im się nie spodobał: „Pancerny wóz, a potem szlus”. Możesz to sobie wyobrazić?

- A o czym był wiersz?

- Zupełnie abstrakcyjny. O tym, że strumień czasu łączy ścianę teraźniejszości, rysując na niej coraz to nowe i nowe wzory, z których część nazywamy przeszłością. Pamięć upewnia nas, że dzień wczorajszy miał rzeczywiście miejsce, ale skąd wiadomo, czy cała ta pamięć nie zrodziła się wraz z pierwszym promieniem poranka?

- Niezupełnie rozumiem - powiedział von Erden.

- Ja też - przyznałem - ale nie o to chodzi. Najważniejsze, co chcę podkreślić - żadnej polityki w tym nie było. To znaczy, tak mi się zdawało. Ale im zdawało się inaczej i to mi wyjaśnili. Co najdziwniejsze, po rozmowie z ich konsultantem ja sam też uznałem jego racje, i to tak dogłębnie, że... To było przerażające, i gdy wyprowadzili mnie na ulicę, uciekłem, nawet nie tyle od nich, ile od tej świadomości...

Von Erden skrzywił się.

- Cała ta historia to wierutna bzdura - powiedział.
- Jasne, że to idioci. Ale z ciebie też niezły numer. I przez to przyjechałeś do Moskwy?

- No, a co było robić? Przecież ostrzeliwałem się podczas ucieczki. Sam chyba rozumiesz, że strzelałem do utkanego z własnego strachu widma, ale na Gorochowej przecież tego nie wytłumaczę. To znaczy, przypuszczam, że mógłbym im to nawet wytłumaczyć, ale na pewno by mnie zapytali: „Dlaczego właściwie strzelałeś do widm? Cóż to, nie podobają ci się widma krążące po Europie?”

Von Erden spojrział na mnie i pogрузzył się w zamyśleniu. Patrzyłem na jego dłonie - tarł je niepostrzeżenie o serwetę, jakby wycierał występujący na nich pot, po czym raptem schował je pod stół. Na jego twarzy odmalowała się rozpacz, wyczułem, że nasze spotkanie i moja opowieść stawiają go w wyjątkowo niezręcznej sytuacji.

- To oczywiście gorzej - wymamrotał. - Ale dobrze, że mi zaufałeś. Myślę, że to się załatwi... Załatwi, załatwi... Zaraz zadzwonię do Aleksieja Maksymowicza... Ręce na głowę.

Ostatnie słowa zrozumiałem dopiero wtedy, gdy zobaczyłem opartą na serwecie lufę mauzera. O dziwo, następnie wyjął z kieszeni na piersi pince-nez i założył na nos.

- Ręce na głowę - powtórzył.

- Coś ty, Grisza? - powiedziałem, podnosząc ręce.

- Nie - wyrzekł.

- Co „nie”?

- Broń i papiery na stół.

- Jak mam to zrobić z rękami na głowie? - spytałem.

Odciągnął kurek pistoletu.

- O Boże, żebyś wiedział, ile razy słyshałem to właśnie zdanie.

- No cóż - odrzekłem. - Rewolwer jest w palcie. Ale z ciebie zdumiewający podlec. Zresztą od dzieciństwa o tym wiedziałem. I po co ci to wszystko? Dostaniesz order?

Von Erden uśmiechnął się.

- Do przedpokoju - rozkazał.

Kiedy znaleźliśmy się w przedpokoju, trzymając mnie wciąż pod lufą, obszukał kieszenie mojego palta, wyłuskał rewolwer i wsunął go do kieszeni. W jego ruchach był jakiś wstydlivy pośpiech, przypominał gimnazjalistę, który po raz pierwszy znalazł się w domu publicznym, przyszło mi do głowy, że być może, nie miał dotąd okazji popełnić podłości tak zwyczajnie i bez osłonek.

- Otwórz drzwi - polecił - i na schody.

- Pozwól mi włożyć palto - poprosiłem, zastanawiając się gorączkowo, co powiedzieć temu podnieconemu własną nikczemnością człowiekowi, by odmienić rysujący się bieg wypadków.

- To niedaleko, po drugiej stronie bulwaru - powiedział von Erden. - Zresztą dobrze, włóż.

Oburącz zdjąłem palto z wieszaka, obróciłem się nieco, by wsunąć rękę w rękaw, i w następnej chwili, ku własnemu zaskoczeniu, narzuciłem je na von Erdena, właśnie narzuciłem, a nie cisnąłem w jego stronę.

Do tej pory nie mogę pojąć, jakim cudem mnie nie zastrzelił, ale fakt pozostaje faktem: nacisnął spust dopiero wtedy, gdy padał pod ciężarem mojego ciała, kula przeszła kilka centymetrów od mego boku i utkwiała w drzwiach wejściowych. Palto przykryło leżącego razem z głową. Przez grubą tkaninę okrycia, która nie stanowiła prawie żadnej przeszkody, chwyciłem von Erdena za gardło. Jednocześnie zdążyłem przycisnąć kolanem do podłogi nadgarstek jego ściskającej pistolet ręki; nim palce się rozwarły,

wpakował w ścianę jeszcze kilka pocisków. Niemal ogłuchłem od huków. Zdaje się, że podczas naszych zmagnięć rąbnąłem go głową w zasłoniętą twarz, między dwoma wystrzałami wyraźnie zapamiętałem cichy trzask pince-nez.

Choć znieruchomiał, długo jeszcze nie miałem odwagi puścić jego gardła. Ręce niemal nie chciały mnie słuchać; dla odzyskania tchu wykonałem kilka ćwiczeń oddechowych. Podziałało to w dziwny sposób – ogarnęła mnie lekka histeria. Zobaczyłem nagle tę scenę z boku: ktoś siedzi na trupie uduszonego właśnie przyjaciela i starannie ćwiczy oddech zgodnie z opisaną w czasopiśmie „Izyda” metodą jogi Ramczaraki. Podniosłem się i dopiero teraz zwała się na mnie świadomość, że właśnie popełniłem morderstwo.

Jak każdy człowiek niezbyt ufający władzy, oczywiście stale nosiłem przy sobie rewolwer, a przed dwoma dniami spokojnie zrobiłem z niego użytek. Tu jednak było co innego – jakaś ponura dostojewszczyzna: puste mieszkanie, trup nakryty angielskim paltem i drzwi do wrogiego świata, do których mógł zbliżyć się już ktoś postronny... Wysiłkiem woli odepchnąłem te myśli – ta dostojewszczyzna tkwiła, rzecz jasna, nie w tym trupie ani w przestrelonych drzwiach, lecz we mnie, w mojej świadomości, owładniętej przerzutami cudzej skruchy.

Uchyliłem drzwi na schody, nasłuchując dłuższą chwilę. Nic się nie działo, pomyślałem więc, że tych parę pistoletowych wystrzałów mogło nie zwrócić niczyjej uwagi.

Mój rewolwer pozostał w kieszeni spodni von Erdena i wcale nie miałem ochoty po niego sięgać. Podniosłem i obejrzałem jego mauzera – to była świetna sztuka, całkiem nowa! Zmusiłem się do przeszukania jego kurtki, znalazłem paczkę papierosów „Ira”, zapasowy magazynek do mauzera i legitymację na nazwisko pracownika Czeki

- Grigorija Obłożnego. No pewnie, pomyślałem sobie, oczywiście. Od małego można się było tego po nim spodziewać.

Przykucnąwszy, otworzyłem zamki akuszerskiej torby. Wewnątrz leżała kancelaryjna teczka z czystymi blankietami nakazów aresztowania, jeszcze dwa magazynki, blaszane pudełko pełne kokainy, jakieś wyjątkowo antypatycznie wyglądające medyczne kleszcze (cisnąłem je od razu w kąt) oraz gruba paczka pieniędzy, a w niej z jednej strony tęczo-we dumskie setki, z drugiej dolary. Wszystko to w samą porę. Żeby trochę dojść do siebie po przeżytym wstrząsie, władowałem do nozdrzy sporą porcję kokainy. Jak brzytwą chlasnęła po mózgu i z miejsca ogarnął mnie spokój. Nie lubiłem kokainy, nastrojała mnie zbyt sentymentalnie, ale teraz musiałem szybko odzyskać równowagę.

Chwyciłem von Erdena pod pachy i powlokłem korytarzem, kopnięciem otworzyłem drzwi jednego z pokoi z zamiarem wciągnięcia tu trupa, lecz zastygłem w progu. Mimo spustoszenia i brudu pozostały tu wyraźne ślady dawnego, opromienionego przedwojennym blaskiem życia. Był to niegdyś pokój dziecinny - zobaczyłem dwa małe łóżeczka z lekimi bambusowymi barierkami, na ścianie rysunki węglem: koń i wąsata twarz (nie wiem, dlaczego pomyślałem o dekabrystach), a na podłodze czerwona gumowa piłka - i od razu zamknąłem drzwi. Powlokłem trupa dalej. Sąsiedni pokój uderzył mnie swą żalobną prostotą: pośrodku stał czarny fortepian z uniesionym skrzydłem, obok - obrotowy taboret i nic więcej.

Tymczasem wstał już we mnie nowy duch. Zostawiłem von Erdena w pozycji półleżącej w kącie (przez cały czas pilnowałem, by nie odsłonić przypadkiem jego twarzy) i siadłem do fortepianu. Zdumiewające - pomyślałem - towarzyszy Obłożny jest tu, a jednocześnie go nie ma. Kto wie,

jakich przemian doświadcza teraz jego dusza? Przypomniał mi się jego wiersz, wydrukowany bodaj przed trzema laty w „Nowym Satirikonie” – przytaczał, zdaje się, artykuł gazetowy o rozpędzeniu kolejnej Dumy, a powstały akrostych układał się w słowa „mane, tekel, fares”. Żył człowiek, myślał, kombinował. Jakie to dziwne.

Obróciłem się do fortepianu i zacząłem cicho grać Mozarta – moją ulubioną fugę f-moll, która zawsze budziła we mnie żal, że nie mam owych czterech rąk, jakie marzyły się wielkiemu szaleńcowi. Melancholia, jaka mnie ogarnęła, nie miała związku z incydentem z von Erdenem; przed oczami pojawiły mi się bambusowe łóżeczka z sąsiedniego pokoju i przez chwilę wyobraziłem sobie cudze dzieciństwo, czyjeś czyste spojrzenie na przedwieczne niebo, czyjs niewymownie wzruszający świat, który odpląnął w niebyt. Grałem jednak niedługo – fortepian był rozstrojony, a ja najpewniej powinienem się śpieszyć. Tylko dokąd?

Najwyższy czas pomyśleć, jak spędzić wieczór. Wróciłem do przedpokoju i z wahaniem popatrzyłem na skórzaną kurtkę von Erdena, ale nie miałem wyboru. Nie bacząc na kontrowersyjność niektórych moich eksperymentów literackich, nie byłem jednak na tyle dekadentem, by włożyć palto, które stało się już całunem, a na dodatek miało przestrzelone plecy. Zdjąłem więc kurtkę z wieszaka, zabrałem torbę i wróciłem do pokoju z lustrem.

Kurtka pasowała w sam raz, byliśmy z nieboszczykiem prawie tego samego wzrostu. Kiedy ściągnąłem ją paskiem z wiszącą kaburą i popatrzyłem na swoje odbicie, zobaczyłem całkiem zwyczajnego bolszewika. Przypuszczam, że oględziny leżących pod ścianą pak w ciągu kilku minut mogły uczynić mnie bogatym człowiekiem, lecz obrzydzenie wzięło górę. Starannie załadowałem pistolet, sprawdziłem,

czy łatwo wyskakuje z kabury; zadowolony z rezultatu, miałem już opuścić pokój, gdy w korytarzu rozległy się głosy. Zrozumiałem, że drzwi wejściowe były przez cały czas otwarte.

Wyskoczyłem na balkon. Wychodził na bulwar Twerski, pod nim ziało dwadzieścia metrów zimnej, ciemnej pustki, w której wirowały płatki śniegu. W plamie światła latarni widniał samochód von Erdena, a w nim na przednim siedzeniu nie wiadomo skąd wziął się człowiek w spiczastej budionnówce. Doszedłem do wniosku, że von Erden zdążył wezwać przez telefon czekistów. Nie było szans przedostania się na dolny balkon, rzuciłem się więc z powrotem do pokoju. Do drzwi już się dobijano. No cóż: kiedyś musiało się to wszystko skończyć. Wycelowałem mauzera w drzwi i krzyknąłem:

- Proszę!

Drzwi się otwały i do pokoju wpadło dwóch marynarzy, obwieszonych trzonkowymi granatami, w marynarskich kurtkach i aż nieprzyzwoicie rozkloszowanych spodniach. Jeden z nich, wąsaty, miał już swoje lata, drugi był młody, ale z pomiętą, anemiczną twarzą. Nie zwrócili wcale uwagi na pistolet w moim ręku.

- Ty jesteś Obłożny? - spytał ten starszy, z wąsami.

- Tak.

- To masz - powiedział marynarz i podał mi złożoną na pół kartkę.

Schowałem mauzera do kabury i rozprostowałem kartkę:

Tow. Obłożny! Natychmiast jedźcie do „Muzycznej Tabakierki” przeprowadzić tam naszą linię. Posyłam do pomocy Żerbunowa i Barbolina. To doświadczeni towarzysze. Babajasin.

Pod tekstem widniała nieczytelna pieczęć. Nim zasta-
nowiłem się, co powiedzieć, usiadli przy stole.

- Szofer na dole wasz? - spytałem.

- Nasz - odparł wąsacz. - Samochód bierzemy twój. Jak
się nazywasz?

- Piotr - odpowiedziałem i omal nie ugryzłem się
w język.

- A ja jestem Żerburow - oznajmił starszy z wąsami.

- Barbolin - przedstawił się młody. Głos miał delikatny,
niemal kobiecy.

Usiadłem naprzeciw nich przy stole. Żerburow nalał
trzy szklanki wódki, jedną przesunął w moją stronę i pod-
niósł na mnie oczy. Zrozumiałem, że na coś czeka.

- No więc - powiedziałem, unosząc swoją szklankę - jak
się to mówi, za zwycięstwo światowej rewolucji!

Mój toast nie wzbudził w nich entuzjazmu.

- Za zwycięstwo, pewnie - potwierdził Barbolin.

- A gdzie koks?

- Jaki koks? - spytałem.

- Nie zgrywaj durnia - odezwał się surowo Żerburow.

- Babajasin mówił, że dziś dostałeś przydziałową puszkę.

- Aha, mówicie o kokainie - domyśliłem się i sięgnąłem
po nią do torby. - Koks, towarzysze, to słowo wieloznaczne.
A może eteru, jak William James?

- Kto taki? - spytał Barbolin, biorąc puszkę w szeroką,
zgrubiałą garść.

- Angielski towarzysz.

Żerburow chrząknął nieufnie, a na twarzy Barbolina
odzwierciedliło się w lot uczucie, które tak lubili utrwać
na wizerunkach postaci z ludu dziewiętnastowieczni malar-
ze rosyjscy - oto istnieje gdzieś wielki, zagadkowy świat,
a w nim tyle niepojętych, nęcących rzeczy, że człowiek nie

tyle na serio chciałby kiedyś tam się znaleźć, ile czasem po prostu pociąga go marzenie o nieziszczalnym.

Napięcie jak ręką odjął. Żerbunow otworzył puszkę, wziął ze stołu nóż, nabrał nim niesamowitą porcję białego proszku i szybko wymieszał go z wódką. To samo zrobił Barbolin, najpierw ze swoją szklanką, potem z moją.

- No, teraz nie wstyd pić i za światową rewolucję - oznajmił.

Na mojej twarzy odbiło się widać powątpiewanie, bo Żerbunow uśmiechnął się i rzekł:

- To, bracie, wprost z „Aurory”, od samych źródeł. A nazywa się „bałtycka herbata”.

Podnieśli szklanki i jednym haustem wychylili ich zawartość, nie pozostało mi nic innego, jak zrobić to samo. Gardło niemal od razu zdrętwiało. Zapaliłem papierosa, zaciągnąłem się, ale nie poczułem smaku dymu. Dobrą minutę siedzieliśmy w milczeniu.

- Pora iść - odezwał się raptem Żerbunow i wstał od stołu. - Iwan zmarznie.

Całkiem otępiąły schowałem puszkę po landrynkach do torby, podniosłem się i poszedłem za nimi. Zatrzymałem się w przedpokoju, próbując znaleźć swoją czapę, bez powodzenia jednak, włożyłem więc kaszkiet von Erdena. Opuściliśmy mieszkanie i po źle oświetlonych schodach zeszliśmy na dół.

Spostrzegłem nagle, że na duszy mi lekko i spokojnie, a im dłużej idę, tym jest spokojniej i przyjemniej. Nie myślałem o przyszłości, dość że nie groziło mi bezpośrednio niebezpieczeństwo, i schodząc ciemną klatką schodową, rozkoszowałem się zdumiewającym pięknem wirujących za szybami płatków śniegu. Właściwie sam byłem czymś na kształt takiego płatka śniegu, unoszonego wichrem losu

w ślad za dwoma innymi płatkami w czarnych marynarskich kurtkach, sunącymi przede mną po schodach. A jednak, mimo euforii, jaka mnie ogarnęła, nie utraciłem zdolności trzeźwej obserwacji tego, co działo się wokół, uczyniłem nawet ciekawe spostrzeżenie. Jeszcze w Piotrogradzie zainteresowało mnie, w jaki sposób utrzymuje się na marynarzach ten cały dźwigany przez nich arsenał. Na trzecim piętrze, gdzie paliła się samotna lampa, wypatrzyłem na plecach Żerbunowa kilka haftek, które niczym biustonosz spinały taśmy karabinu maszynowego. Od razu wyobraziłem sobie, jak wybierając się na kolejne mordy, Żerbunow i Barbolin, niczym dwie panny w kąpielisku, pomagają jeden drugiemu uporać się z tą skomplikowaną częścią garderoby. Uznałem to za jeszcze jeden dowód kobiecej natury wszelkich rewolucji. Zrozumiałem nagle pewne nowe nastroje w poezji Błoka; widocznie wyrwał mi się z gardła jakiś okrzyk, bo Barbolin się odwrócił.

- A tyś nie chciał, głupku - powiedział, błysnąwszy złotym zębem.

Wyszliśmy na ulicę. Barbolin polecił coś żołnierzowi na przednim siedzeniu, otworzył drzwiczki i wpakowaliśmy się do środka. Samochód od razu ruszył. Przez zaokrągloną po bokach przednią szybę widać było ośnieżone plecy i spiczastą wołokową misiurkę; wydawało się, że nasz pojazd prowadzi ibsenowski troll. Konstrukcja samochodu była wyjątkowo niewygodna, a przy tym upokarzająca dla szofera, zawsze wystawionego na niepogodę - a może - pomyślałem - specjalnie to zrobiono, żeby pasażerowie podczas jazdy mogli się rozkoszować nie tylko widokami z okna, ale i nierównością klasową?

Popatrzyłem przez boczną szybę - ulica była pusta, a padający na jezdnię śnieg niezwykle piękny. Rozjaśniały ją

rzadkie latarnie; w świetle jednej z nich na ścianie domu mignął wyzywający napis: LENINE EST MERDE.

Kiedy samochód stanął, zdołałem już trochę przyjść do siebie. Wysiedliśmy na niewiadomej ulicy przed niczym niewyróżniającą się bramą, gdzie stały dwa samochody i kilka fiaków; nieopodal spostrzegłem groźnie wyglądający samochód pancerny z czapką śniegu na wieżyczce karabinu maszynowego. Nie zdążyłem mu się przyjrzeć, bo marynarze od razu dali nura do bramy. Po przejściu niewymownie przygnębiającego podwórza stanęliśmy przed drzwiami, nad którymi sterczał żeliwny daszek z zawijasami i amorkami w kupieckim stylu. Do daszka był przymocowany nieduży szyld:

MUZYCZNA TABAKIERKA

kabaret literacki

Świeciło się kilka sąsiadujących z drzwiami okien, szczelnie zaciągniętych różowymi zasłonami; dochodziły stamtąd urokliwe, smętne dźwięki niewiadomego instrumentu.

Żerburow szarpnął ku sobie drzwi. Otwarty się na krótki przedpokój zawieszony ciężkimi futrami i szynelami, zamknięty sutą aksamitną zasłoną. Na nasz widok podniósł się z taboretu wyglądający na zbója facet w czerwonej rubaszce.

- Obywatele marynarze - zaczął - u nas...

Barbolin cyrkowym ruchem obrócił na ramieniu karabin i uderzył go kolbą w dół brzucha. Nieszczęśnik osunął się po ścianie na podłogę, na jego niedobrej twarzy odmalowało się znużenie i wstręt. Żerburow odciągnął zasłonę i weszliśmy do na pół ciemnej sali.

Rozpierała mnie energia, popatrzyłem dokoła. Miejsce przypominało pośledniej kategorii restaurację z pretensjami do elegancji. Przy niedużych okrągłych stolikach w gęstych kłębach dymu siedziała mieszana publiczność, ktoś chyba palił opium. Nikt nie zwrócił na nas uwagi, usiedliśmy przy wolnym stoliku w pobliżu wejścia.

W końcu sali na jaskrawo oświetlonej estradzie ogolony jegomość we fraku siedział z nogą założoną na nogę na obciągniętym czarnym aksamitem stołku. Jedną stopę miał bosą. Smyczek w prawej ręce ślizgał się po tępym skraju długiej piły, której jedną rączkę przyciskał bosą stopą do podłogi, a drugą ścisnął w lewej pięści, sprawiając, że instrument wyginał się i drżał. Chcąc wygasić wibrację migocącej powierzchni, na moment przyciskał do niej bosą stopę; obok stał lakierek, z którego sterczała śnieżnobiała skarpetka. Dźwięk, jaki człowiek ów dobywał ze swego instrumentu, był wprost niezmierny, czarujący i smutny; grał chyba jakąś nieskomplikowaną pospolitą melodię, lecz ważne były tylko *timbre* i modulacje długo zamierającego dźwięku, który zapadał prosto w serce.

Portiera u wejścia zakołysała się, wysunął się zza niej człowiek w rubaszce. Strzelił palcami dokądś w ciemność i ruchem głowy wskazał nasz stolik, po czym, obróciwszy się w naszą stronę, skłonił się krótko i formalnie, by zaraz zniknąć za portierą. Od razu wynurzył się skądś posługacz z tacą w jednej ręce i miedzianym czajnikiem w drugiej (takie same czajniki stały na innych stolikach). Na tacy mieścił się półmisek z pasztecikami, trzy filiżanki i maleńki gwizdek. Posługacz rozstawił filiżanki, napełnił je z czajnika i znieruchomiał w oczekiwaniu. Podałem mu wyciągnięty z torby na chybił trafił banknot, zdaje się, dziesięciodolarowy. Początkowo nie mogłem pojąć, po co na tacy leży

gwizdek, ale wkrótce przy sąsiednim stoliku rozległ się cichy, melodyjny gwizd i posługacz pomknął na ten dźwięk.

Żerbunow pociągnął ze swojej filiżanki i chrząknął niezadowolony. Ja też upiłem łyk z mojej. To była chanza, kiepska wódka chińska z gaolianu. Zabrałem się do pasztecika, ale nie czułem kompletnie smaku. Wciąż dawała o sobie znać kokaina, która zmroziła gardło.

- Z czym są te paszteciki? - ostrożnie spytał Barbolin.
- Powiadają, że ludzie tu giną. Byłe się nie strefnić.

- A ja jadłem - zwyczajnie odparł Żerbunow. - Jak wołowina.

Nie mogłem tego dłużej znieść, wyciągnąłem puszkę i Barbolin zaczął rozdzielać porcje proszku do filiżanek.

Tymczasem jegomość we fraku skończył grać, zgrabnie i szybko włożył skarpetkę oraz but, wstał, uklonił się, podniósł taboret i żegnany wåtłymi oklaskami zszedł ze sceny. Od stolika obok estrady wstał przystojny facet z siwą bródką, okutany wokół szyi szarym szalem, jakby chciał ukryć ślad po ukąszeniu. Ze zdziwieniem poznałem w nim Walerego Briusowa, postarzałego i wychudzonego. Wszedł na estradę i zwrócił się do sali:

- Towarzysze! Aczkolwiek żyjemy w widowiskowej epoce, gdy skład drukarski ustąpić musiał przed składanką widowisk, a nawet - rzekłbym wręcz... - tu, czyniąc pauzę, wywrócił oczy, szykując się wyraźnie do wygłoszenia jednego ze swoich kretyńskich kalamburów - przed składem widowni... hmm... tradycja nie kapituluje i szuka nowych form. To, co dziś zobaczycie, nazwałbym jednym z olśniewających przykładów pępkocentrycznego postrealizmu. Za chwilę odegrana zostanie przed wami... hmm... mała tragedia pióra pewnego pępkocentrycznego postrzeleńca... hmm... Tak właśnie autor, poeta kameralny Joann

Pawłuchin, określił gatunek uprawianej twórczości. A więc mała tragedia *Raskolnikow i Marmieładow*. Prosimy.

- Prosimy! - powtórzył jak echo Żerbunow i wypiliśmy.

Briusow zszedł z estrady i wrócił do stolika. Dwaj ludzie w mundurach wynieśli zza kulis na estradę ciężką połączoną harfę na cokole i taboret. Następnie przynieśli stolik, postawili na nim pękata butelkę z likierem oraz dwa kieliszki, po czym przyczepili do kulis kawałki kartonu z napisami „Raskolnikoff” i „Marmieładoff” (poznałem od razu, że egzotyczna pisownia to nie błąd, lecz jakiś symbol) i powiesili pośrodku tabliczkę z niezrozumiałym słowem IHWJ, wpisanym w błękitny pentagram. Zrobili swoje i znikli. Zza kulis wyszła kobieta w długim chitonie, siadła do harfy i bez pośpiechu jąła przebierać palcami po strunach. Trwało to kilka minut.

Następnie na scenie pojawiła się czwórka ludzi w długich czarnych płaszczach. Każdy ukląkł na kolano i uniesioną czarną połą zasłonił twarz. Na przeciwległych końcach estrady ukazały się dwie postacie na wysokich koturnach, w długich białych chlamidach i greckich maskach. Powoli zbliżały się do siebie i stanęły w pewnej odległości. Pod pachą jednej z nich na oplecionej różami pętli wisiła siekiera; domyśliłem się, że to Raskolnikow. Właściwie można się było zorientować i bez siekiery, bo wisiła za nim tabliczka z nazwiskiem. Aktor stojący pod tabliczką z napisem „Marmieładoff” wolno unioś rękę i podjął recitativo:

*- Jam Marmieładow. Zwierzę się w sekrecie,
że iść gdziekolwiek nie widzę już celu.*

*Długo błądziłem po szerokim świecie,
lecz nie dostrzegłem światełka w tunelu.*

*Czytam ze skrytej w pańskim wzroku męki,
że los nieobcy panu ciemżonych mas.*

Może po jednym? Dalej! Na bok łęki!

Dzięki

- Nie trzeba.

Aktor z siekierą odpowiadał jednakowoż śpiewnie, ale basem. Kiedy zaczął mówić, wyciągnął uniesioną dłoń do Marmieładowa, ten zaś, szybko napełniwszy swój kieliszek, wychylił go w otwór maski i ciągnął:

- Trudno. W pańskie ręce. Raz!

*Dalej: widzę na czole sławę tajemnej korony,
widzę usta milczące z półśmiechem drwiny,
takż lica poblądłe, a dłonie zbroczone.*

*Mnie zaś brak wszelkiej sensownej przyczyny,
ażebym nieruchoma skóra mojej twarzy
skrywała otchłań pustki, co ciałem się staje,
czyniąc pozory duszy, którą Stwórca darzy.
Czy pan aby nadąża?*

- Tak mi się wydaje...

Żerburow szturchnął mnie łokciem i spytał cicho:

- Co ty na to?

- Jeszcze za wcześnie - odparłem szeptem. - Zobaczymy, co dalej.

Żerburow z szacunkiem kiwnął głową. Na scenie Marmieładow kontynuował:

*- Zatem, w tym stanie rzeczy, bez wątpienia,
jak krew na śniegu ranki się purpurą.
Niczym siekierą w ciemię. Do myślenia
czy ci to daje coś, mój mały?*

- Dużo.

*- Całe to zagląkanie w duszę nuży mnie po trochu.
Mroki jak u Murzyna darmo okiem mierzę.
To coś jakby leżące w wąskim, zimnym lochu
dwa nieżywe staruchy. Oho, dreszcz cię bierze?*

- *I owszem. O co chodzi? Do czego pan pije?*

- *Tak prosto z mostu?*

- *Oszczędź mi pan aluzje subtelne.*

- *A może jednak najpierw damy sobie w szyję?*

- *Natrętny pan niczym z rachunkiem oberkelner.*

Idę.

- *Mój chłopcze, nie ma co się złościć.*

- *Nudzą mnie te wywody, nawet jeśli szczerze.*

*Mógłby pan wreszcie podać mi do wiadomości,
czego pan sobie życzy?*

- *Sprzedaj pan siekiere...*

Tymczasem rozglądałem się po sali. Przy okrągłych stolikach siedziały po trzy, cztery osoby; wśród nader różnorodnej publiczności, jak to zwykle w dziejach ludzkich bywa, wyraźnie przeważały świńskie ryje spekulantów i bogato wystrojone kurwy. Przy stoliku Briusowa siedział spasiony od czasu, gdy go widziałem ostatnio, Aleksy Tołstoj z okazałą kokardą zamiast krawata. Sadło, jakim obrósł, zdawało się wyciśnięte z chudego teraz jak szczapa Briusowa. Razem wyglądali nieznośnie.

Odwróciłem wzrok i spostrzegłem przy jednym ze stolików dziwnego człowieka z podkreconymi wąsami w przepasanej koalicijką czarnej bluzie. Siedział sam, zamiast czajnika stała przed nim butelka szampana. Uznałem, że to pewnie jakaś ważna bolszewicka szycha; nie wiem, co wydało mi się niezwykle w jego spokojnej, energicznej twarzy, ale przez dłuższą chwilę nie mogłem oderwać od niego oczu. Pochwycił moje spojrzenie, a ja od razu odwróciłem wzrok w stronę estrady, gdzie toczył się nadal absurdalny dialog:

- *Że co? A niby po co?*

- *Mam coś do zrobienia.*

Symbol, który oddziela bytu strony dwie.

Pan w razie czego drugą skradnie bez wstąpienia.

Kradzioną bardziej stylowo, no nie?

- Owszem... Lecz - myślę - po co te podchody?

Pan był tam przecież? Za tym parawanem?

- Wie pan, Rodionie, jest pan płytki, jak to młody,

choć z siekierą. Zresztą młodość mianem

źródła i sedna obdarza to, co ostateczne,

prostych spełnień pożąda, jak miłość, wesele,

z pętlą pod pachą gotowa gry wieść niebezpieczna.

Ile pan żąda?

- Spytać się ośmielę,

Na co to panu?

- Od pierwszego słowa

powtarzam: to siła, blask, ambicje szczerze,

Graal, wieczność, zmienna stałość księżycowa,

nadzieja, brzeszczot... Dawaj pan siekierę.

- Nic nie pojmuję. Zresztą - oto ona.

- Ona... Migocze jak płomień wśród skał...

Ile?

- Co pan uważa.

- Teraz zapłacona?

- Dziesięć... piętnaście... Trochę mało dał.

Skądinąd, czuję, sprawa nie w tej cenie.

Coś jakby się zmieniło... Pękało na pół...

Sięgało po mnie z wolna... I odczuwam drżenie,

jakby w duszy rozdartej zimny wicher duł.

Ktoś ty? Boże, toż to twarz w masce ku mojej się kłoni!

Oczy jak żółte gwiazdy skrzą się z lic!

To podłość! Niech pan oblicze odstoni!

Marmieladow wytrzymał długą, przeraźliwą pauzę.

Odstoni!

Marmieładow jednym ruchem zerwał maskę, jednocześnie z ciała opadł przywiązany do niej chiton, odsłaniając kobietę w biustonoszu i koronkowych pantalonach, w srebrzystej peruce z mysim ogonkiem warkoczka.

- *Boże... Starucha... A ręce nie trzymają nic...*

Wyrzekłszy ledwo dosłyszalnie te słowa, Raskolnikow z wysokości koturnów runął na podłogę.

Ciąg dalszy sprawił, że pobladłem. Na scenę wpadło dwóch skrzypków; zagrali wściekle jakąś cygańską melodię (znów Błok - pomyślałem), a kobieta-Marmieładow narzuciła na leżącego Raskolnikowa swój chiton, skoczyła mu na pierś i jęła go dusić, wierząc zaciekle pupą w koronkach.

W pierwszej chwili poraziła mnie myśl, że to, co się dzieje, jest wynikiem jakiegoś potwornego spisku i wszyscy obecni patrzą w moją stronę. Zaszczutym spojrzeniem obiegłem salę, znów zderzyłem się wzrokiem z wąsatym mężczyzną w czarnej bluzie i nagle w jakiś sposób zdałem sobie sprawę, że on wie wszystko o śmierci von Erdena, mało tego: wie o mnie rzeczy znacznie gorsze.

Byłem już gotów zerwać się z krzesła i rzucić do ucieczki, powstrzymał mnie tylko niesłychany wysiłek woli. Publiczność klaskała ospale; niektórzy ze śmiechem wskazywali palcem na scenę, większość jednak zajęta była rozmową i wódką.

Udusiwszy Raskolnikowa, kobieta podbiegła na brzeg sceny i pod rozszalałe dźwięki skrzypiec zaczęła tańczyć, zadzierając pod sufit gołe nogi i wymachując siekierą. Czwórka mężczyzn w czerni, cały czas nieruchomo klęczących na scenie, pochwyciła przykrytego chitonem Raskolnikowa i wyniosła za kulisy. Olśnił mnie raptem domysł, że to cytat z *Hamleta*, gdzie mowa pod koniec o czterech kapitanach wynoszących martwego księcia; o dziwo, myśl ta

od razu przywróciła mi spokój. Zrozumiałem, że bieg akcji na scenie to nie żaden spisek przeciw mnie – nikt po prostu nie zdążyłby go uknuć! – ale zwykłe mistyczne wyzwanie. Od razu postanowiłem zmierzyć się z nim, zwracając się do zbaraniałych marynarzy.

- Chłopaki, stop. To zdrada.

Barbolin podniósł na mnie nierozumiejący wzrok.

- Angielka bruździ – rzuciłem na chybił trafił.

Widocznie te słowa miały dla niego jakiś sens, bo natychmiast ściągnął z ramienia karabin. Powstrzymałem go.

- To nie tak, towarzyszu. Czekajcie.

Tymczasem na scenie znów pojawił się jegomość z piłą, siadł na taborecie i jął ceremonialnie ściągać pantofel. Otworzyłem torbę, wyjąłem ołówek i czysty blankiet; melancholijne dźwięki piły porwały mnie i poniosły, po kilku minutach tekst miałem gotowy.

- Co tam piszesz? – zainteresował się Żerbunow.
- Aresztować chcesz kogoś?

- Nie – odrzekłem. – Tu, jeśli posadzić, to wszystkich. Zrobimy inaczej. Pamiętasz rozkaz, Żerbunow? Mamy przecież nie tylko położyć temu kres, ale i przeprowadzić naszą linię, tak?

- Tak – przyznał Żerbunow.

- No więc – powiedziałem – ty i Barbolin idźcie za kulisy. Ja teraz wejdę na scenę i przeprowadzę naszą linię. A jak skończę, dam sygnał i wtedy wy wejdziecie. Już my im pokazemy muzykę rewolucji.

Żerbunow postukał palcem w swoją filizankę.

- Nie, Żerbunow – powiedziałem stanowczo – zawalisz robotę.

W jego spojrzeniu przemknęło coś na podobieństwo urazy.

- Coś ty? - wyszeptał. - Nie ufasz mi? Toż ja... Ja życie za rewolucję oddam!

- Wiem, towarzyszu - odparłem. - Ale kokaina później. A teraz naprzód!

Marynarze podnieśli się i ruszyli w stronę sceny. Stąpali rozkołysanym, mocnym krokiem, jakby zamiast parkietu mieli pod nogami nachylony pokład walczącego ze sztormem pancernika; w tej chwili czułem do nich niemal sympatię. Wspięli się po bocznych schodkach i znikli za kulisami. Wychyliłem do dna resztkę chanzy z kokainą, wstałem i podszedłem do stolika, przy którym siedzieli Briusow i Tołstoj. Przyglądano mi się. Panowie i towarzysze - myślałem sobie, krocząc z wolna przez dziwnie rozszerzającą się salę - i ja miałem dziś honor stłamsić moją staruchę, ale nie udusicie mnie jej wymyślonymi dłońmi! Do diabła z tą wiecznie obecną dostojewszczyzną Rosjan! Do diabła z Rosjanami, którzy ją tylko widzą dokoła.

- Dobry wieczór, Walery Jakowlewiczu. Przerwa?

Briusow drgnął i przez kilka sekund przyglądał mi się, najwyraźniej nie poznając. Wreszcie na jego zmizerowanej twarzy pojawił się uśmiech niedowierzania:

- Pietia? - spytał. - To pan? Jakże się cieszę, widząc pana. Proszę przysiąść się do nas na chwilę.

Usiadłem przy stoliku i powściągliwie przywitałem się z Tołstojem: choć widywaliśmy się często w redakcji „Apol-lona”, nie znaliśmy się bliżej. Tołstoj był mocno pijany.

- Co u pana? - spytał Briusow. - Napisał pan coś nowego?

- Nie czas na to, Walery Jakowlewiczu - odparłem.

- Tak - odezwał się z namysłem, zerkając wyraźnie na moją skórzaną kurtkę i mauzera - no tak! To prawda. I ja też... Nie miałem pojęcia, Pietia, że należy pan do naszych.

Zawsze ceniłem pańskie wiersze, zwłaszcza pierwszy zbiorek: *Wiersze kapitana Lebiadkina*. No i oczywiście *Pieśni królestwa „Ja”*. Ale kto by pomyślał... Wszędzie u pana te konie, cesarze, Chiny...

- *Conspiration*, Walery Jakowlewiczu - powiedziałem. - Choć brzmi to dziko...

- Rozumiem - odrzekł Briusow - teraz rozumiem. Chociaż, zapewniam pana, zawsze coś podobnego wyczuwałem. Zmienił się pan, Pietia. Co za energia... Oczy błyszczące. A propos, zdążył pan przeczytać *Dwunastu* Błoka?

- Przeglądałem - odparłem.

- I co pan myśli?

- Niezupełnie rozumiem symbolikę finału - powiedziałem. - Dlaczego przed patrolem Czerwonej Gwardii idzie Chrystus? Czyżby Błok chciał ukrzyżować rewolucję?

- Tak, tak - śpiesznie potwierdził Briusow. - Właśnie o tym mówiliśmy z Aloszą.

Na dźwięk swego imienia Tołstoj otworzył oczy, uniósł filiżankę, ale była pusta, namacał na stole gwizdek, podniósł go do ust, ale nim dmuchnął, głowa znów mu opadła.

- Słyszałem, że zmienił zakończenie - powiedziałem.

- Teraz na czele patrolu idzie marynarz.

Briusow zastanawiał się chwilę, po czym rozbłysły mu oczy.

- Racja - przyznał - tak słuszniej. O wiele trafniej. A Chrystus idzie z tyłu. Niewidoczny wlecze się z tyłu, dźwigając swój krzyż skroś zawiei.

- Właśnie - dodałem - w drugą stronę.

- Tak pan sądzi?

- Jestem pewny - powiedziałem, myśląc o tym, że Żer-bunow i Barbolin pewnie już usnęli za kulisami. - Walery Jakowlewiczu, mam prośbę. Czy mógłby pan zapowie-

dzieć, że teraz wystąpi z rewolucyjnymi wierszami poeta Obłozny?

- Obłozny? - zdziwił się Briusow.

- Mój partyjny pseudonim - wyjaśniłem.

- Tak, rozumiem - skinął głową Briusow - co za głębia! Sam posłucham z rozkoszą.

- Tego nie radzę. Lepiej od razu wyjść. Tu zaraz zaczną się strzelanina.

Briusow pobladł i kiwnął głową. Nie zamieniliśmy już ani słowa; kiedy piła ucichła i elegant we fraku włożył swój pantofel, Briusow wstał i wszedł na estradę.

- Dziś - oznajmił - była już mowa o sztuce najnowszej. Teraz temat podejmie poeta Obłozny (nie wytrzymał i wyrócił oczy) - hm... proszę nie mylić z oddziałem zamkniętym i kaczką... hm... poeta Obłozny, który zaprezentuje rewolucyjne wiersze. Prosimy!

Szybko zszedł ze sceny, uśmiechnął się do mnie przepraszająco, rozłożył ręce, chwycił pod pachę słabo opierającego się Tołstoja i pociągnął go do wyjścia; przypominał w tej chwili emerytowanego nauczyciela, wlokącego na smyczy nieposłusznego i głupiego bernardyna.

Wspiąłem się na estradę. Tuż przy jej brzegu stał zapomniany, obciążony aksamitem taboret - bardzo się przydał. Postawiłem na nim but, wbiłem wzrok w przycichłą salę. Wszystkie twarze przede mną zlewały się jakby w jedną - przymilną, a przy tym bezczelną, zastygłą w grymasie unżonego samozadowolenia - niewątpliwie była to ucieleśniona, wciąż żywa twarz starej lichwiarki. W pobliżu estrady siedział Joann Pawłuchin, długowłosa pokraka z monoklem; obok niego zajadała pasztecik przyszczata grubaska z wielką czerwoną kokardą w szpakowatych włosach - zapewne komisarz teatrów, madame Malinowska.

Jakże nienawidziłem ich wszystkich w tej trwającej wieczność chwili!

Dobyłem z kabury mauzera, uniosłem nad głową, odchrząknąłem i w swej dawnej manierze, bez wyrazu patrząc przed siebie i bez żadnych intonacji, zachowując tylko krótkie pauzy, wyrecytowałem wiersz napisany na blankiecie Czeki:

Rewwojensonet

*O, towarzysze broni! Nasz ból jest przemożny.
W podłym zamachu zginął towarzysz Obłożny.
Na zawsze stracił oddział Czeki nasz
Tęgiego bolszewika, co miał taki staż.*

*A tak się to odbyło: z śledztwa zmierzał
I właśnie papierosa zapalić zamierzał,
Kiedy biały oficer, skrytobójczy szpieg,
Wyjął spluwę i przerwał życia jego bieg.*

*Towarzysze! Grzmot strzału rozsadził mu ucho,
Dotęgli Obłożnego kula z wrażeń łap.
Sekundę jeszcze gmerał za pazuchą,
Zachwiał się, zamknął oczy i na ziemię chlap.*

*Towarzysze! Zewrzyjmy szeregi i w głos coś zanućmy,
Przeciw białej gadzinie czerwony terror zwróćmy!*

Po tych słowach kropnąłem w żyrandol, ale spudłowałem.

Zaraz jednak po mojej prawej stronie padł drugi strzał, żyrandol gruchnął na ziemię, obok siebie zobaczyłem Żerbuńowa, mocującego się z zamkiem karabinu. Półkłęczęc, strzelił jeszcze kilka razy, na sali podniósł się krzyk;

kto żyw padał na podłogę, chował się za kolumny, tymczasem zza kulis wyszedł Barbolin. Zataczając się, doszedł na skraj sceny, zawył i rzucił granat. Huknęło okrutnie, buchnął biały płomień, przewrócił się stolik, ktoś ze zdziwieniem jęknął w zapadłej nagle ciszy. Nastąpiła kłopotliwa pauza. Żeby ją jakoś wypełnić, kilkakrotnie strzeliłem w sufit i raptem znów spostrzegłem dziwnego mężczyznę w ciemnej bluzie; siedział z niewzruszonym spokojem przy swoim stoliku i pociągał z filiżanki – dałbym głowę, że się uśmiecha. Zrobiło mi się głupio.

Żerbunow raz jeszcze wygarnął do sali.

- Przerwać ogień! - krzyknąłem.

Żerbunow wymamrotał coś, co brzmiało: „Coś taki ważny, nie będziesz mi tu rozkazywać”, zarzucił jednak karabin na ramię.

- Wycofujemy się - powiedziałem i ruszyłem za kulisy.

Na nasz widok jacyś stojący tam ludzie rzucili się do ucieczki. Szedłem z Żerbunowem ciemnym korytarzem, po kilku zakrętach trafiliśmy na drzwi służbowego wyjścia i po ich otwarciu znaleźliśmy się na ulicy, gdzie znów jacyś ludzie rozpięzchli się przed nami. Po dusznej, zadymionej sali mroźne powietrze podziałało na mnie jak opary eteru - poczułem zawrót głowy i strasznie zachciało mi się spać. Kierowca, przysypany już grubą warstwą śniegu, jak przedtem nieruchomo siedział na przednim siedzeniu. Otwierając drzwiczki auta, odwróciłem się.

- A gdzie Barbolin? - spytałem.

- Zaraz będzie - wyszczerzył zęby Żerbunow - ma jeszcze sprawę.

Wlazałem do samochodu, oparłem się wygodnie i momentalnie usnąłem.

Obudził mnie kobiecy pisk, zobaczyłem Barbolina, który niósł na rękach wyrrywającą się z wdziękiem pannę w koronkowych majteczkach, z przekrzywioną peruką z warkoczkiem.

- Posuń się, towarzyszu - poprosił Żerbunow, pakując się do samochodu - mamy uzupełnienie.

Przesunąłem się na bok. Żerbunow pochylił się ku mnie i z nieoczekiwanym ciepłem w głosie powiedział:

- A ja z początku nie zrozumiałem cię, Pietka. Duszy w tobie nie dojrzałem. Zuch z ciebie. Piękną trzymałeś mowę.

Coś tam wymamrotałem i znów usnąłem. Przez sen słyszałem chichot kobiety, ponure przekleństwa Barbolina i jadowity syk Żerbunowa, chyba kłócili się o tę nieszczęsną. Potem samochód stanął. Podniosłem głowę i ujrzałem przed sobą rozplywającą się, jakby nierzeczywistą twarz Żerbunowa.

- Śpij, Pietka - rozległo się donośnie - my tu wysiadzimy. Mamy z kumem do pogadania. A ciebie Iwan odwiezie.

Wyjrzałem przez okno. Staliśmy na bulwarze Twerskim, przy rezydencji gradonaczalnika. Wolno sypał puszysty śnieg. Barbolin i drżąca, półnaga kobieta byli już na ulicy. Żerbunow uścisnął mi rękę i wysiadł. Samochód ruszył.

Ogarnęło mnie raptem dojmujące uczucie osamotnienia i bezbronności w tym lodowatym świecie, którego mieszkańcy starali się wysłać mnie na Gorochową lub zmaćić mi duszę urokiem mrocznych słów. Jutro rano, pomyślałem, trzeba będzie strzelić sobie w łeb. Ostatnie, co zobaczyłem, nim zapadłem ostatecznie w czarną otchłań nieświadomości, to ośnieżona krata bulwaru; kiedy samochód zawracał, znalazła się tuż przy oknie.

Niniejsza **darmowa publikacja** zawiera jedynie fragment pełnej wersji całej publikacji.

Aby przeczytać ten tytuł w pełnej wersji [kliknij tutaj](#).

Niniejsza publikacja może być kopiowana, oraz dowolnie rozprowadzana tylko i wyłącznie w formie dostarczonej przez NetPress Digital Sp. z o.o., operatora [sklepu na którym można nabyć niniejszy tytuł w pełnej wersji](#). Zabronione są jakiegokolwiek zmiany w zawartości publikacji bez pisemnej zgody NetPress oraz wydawcy niniejszej publikacji. Zabrania się jej od-sprzedaży, zgodnie z [regulaminem serwisu](#).

Pełna wersja niniejszej publikacji jest do nabycia w sklepie internetowym [Salon Cyfrowych Publikacji ePartnerzy.com](#).